

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Wieś Westerland.

## WIEŚ WESTERLAND.

Ładna ta wioska, leżąca na wyspie Sylcie, na morzu Północném, licznie jest nawiedzana dla morskich kąpiei. Wspaniały widok na morze roztacza się z wybrzeża, zwłaszcza w czasie przyływu. Wtenczas goście zwykle wychodzą z mieszkań, aby się przypatrywać tój grze ruchliwych bałwanów. Jest to widok bardzo jednostajny, ciągle bowiem fale bieżą, rozbijają się, pokryte pianą białą, a jednak nikomu się to nie przykrzy i codziennie liczne gromadki śpieszą na wybrzeże morskie.

## NA PRZEDNÓWKU.

— Matulu moja, powiedzcie przecie,  
Czy bardzo trudno żyć jest na świecie,  
Że tak wzdychacie często dzień cały?...

— Jakżeż nie wzdychać, mój synku mały,  
Kiedy przednówek, puste stodoły,  
Tatusz sprzedali ostatnie woły....  
— Matko, ksiądz mówi, płakać nie trzeba,  
Boć miłosierne nad nami nieba.  
Czyż was nie cieszą żółciuchne kłosa,  
Co się kłaniają het pod niebiosy?  
Bławat niebieski, kraśne makówki  
Przed Bożą męką schylają główki....  
Zresztą, my biedni, sąsiad bogaty,  
On da garść pszeną do naszej chaty,  
Może ziemniaków jeszcze dołoży,  
Za to Bóg plonu jemu przysporzy.  
— Nie licz na pomoc, synku, niczyją,  
Bo najbogatsi dla siebie żyją,  
Więcej ten łaknie, co dużo w dziale  
Bóg mu użyczył w swój świętej chwale....  
— Matulu, ptaszki, chociaż nie orzą,  
A jednak żyją za łaską Bożą.

Toć i o biednych święta dziecina  
 Dobremu Ojcu pewnie wspomina.....  
 Matko, ja klękę przy Bożej męce,  
 I błagające tak wzniosę ręce,  
 I tak go prosić będę serdecznie,  
 Że nam dopomóż musi koniecznie.  
 Bo nie o kołacz ni o przysmaki,  
 Lecz o kęs chleba i o ziemniaki  
 Prosić Go będę, matuś jedyna,  
 I Boga Ojca, Ducha i Syna.....  
 I żeby wszędzie, jak świat szeroko,  
 Łany pszenicy pieściły oko,  
 Żeby na głodnych gromadę całą  
 Czarnego chleba nie brakowało.

I poszło chłopię, słowem pociechy,  
 Wniósłszy nadzieję w próg nędznej strzechy;  
 A głos modlitwy dziecka - anioła  
 Błogosławieństwem wrócił do siola.

*Marya Ciświcka.*

## BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez *Maryą Świdorską.*

(Dalszy ciąg.)

Słuchał stary, nic już nie mówiąc, wreszcie podniósł się i poszedł znów do pana. Przez cały dzień dali nam pokój, ale do jedzenia dostaliśmy tylko placek owsiany i wody trochę. Ja wstałem i poszedłem do roboty, ale braciszek nie miał siły się ruszyć ze swego kącika. Na trzeci dzień rano Kubalim przyszedł i powiedział nam, że się wybiera w daleką drogę, w stepy, zbierać daninę, którą jakieś pokolenie Nohajców ma składać dwa razy do roku Edydze beyowi; zalecał, żebyśmy byli posłuszni i dodał, że przecież nie zaszkodzi pójść do meczetu, a potem możemy sobie pomodlić się po naszymu w kąciku, gdy nikt nie widzi. Nie chciałem nic mówić przy Staszku, ale poszedłem za starym i błagałem, by się nami zaopiekował i wyjednał u pana, żeby mi brata męczyć nie kazał. Ja starszy i silniejszy, to więcęć zniosę, ale on biedactwo już i tak ledwie żyje, a płacze nocami i tęskni za matusią i za ojczyzną naszą. Zaduł się stary, a po chwili odpowiedział, że nas już bić nie będą, za to on ręczy, bo musiał mu to Edyga przysiąc, ale trzeba choć trochę pana złągodzić uległością naszą.

I wyjechał w drogę nadzorca nasz z wielbładami i sporym pocztem tatarskim, a koło południa Edyga bey kazał nas prowadzić do izby swojej.

Znów siedział fajkę paląc, a obok niego Adzi, kociami oczami błyskając z pod grubych powiek.

— Jutro pójdziecie do meczetu — powiedział — dostaniecie kaftany czerwone i pasy ze złotą frendzlą, i łakoci rozmaitych, tylko bądźcie posłuszni.

A tu na dużej tacy postawił niewolnik na ziemi, jak to zwyczaj u muzułmanów, rozmaite tureckie konfitury, jak ajwa (rodzaj białego ciasta słodkiego z orzechami) i rahat-ła-kum i bakalie rozmaite, a pan wskazał palcem, żebyśmy sobie brali; drugi niewolnik przyniósł pyszne haftowane kaftany, pasy i zawoje tureckie, które położył na kobiercu koło pana. Staszek błąd cisnął mnie za rękę, ale nic nie mówił; do łakoci ani się schylił. Ja pokłoniłem się do ziemi i rzekłem:

— Panie, daj nam chleb czarny i kawał grubego sukna do okrycia, każ nam wodę nosić i ogród twój kopać, ale nie każ nam wyrzekać się Boga naszego.

— Ach wy, psy niewierne! — krzyknął — tak wy cenicie moje dary? — Skinął na sługi, ci nas porwali z izby ale widziałem, że Adzi coś do ojca gadał i śmiał się, szeroko usta otworzywszy, że mu zęby, jak u wilczka młodego, sterczały. Potem wybiegł i coś poszeptał ze służbą. Staliśmy, nie wiedząc co z sobą począć, ale po chwili dwóch pacholców, wzięwszy powrozy, przywiązało nas do słupa, co stał wbity na podwórzu do przywiązywania koni tatarskich. Myślałem, że nam głowy utną i zaczęliśmy z bratem cicho odmawiać „Zdrowaś Marya”, polecając dusze nasze Bogu; ale to co innego się przygotowywało!

Adzi pobiegł i wrócił wkrótce, trzymając swój mały łuk i strzały; stanął opodal i zaczął mierzyć. Świsnęła strzała w powietrzu, a dziki malec wydał okrzyk radości, bo jego strzała utkwiała mi w nodze nad kolanem. I znów mierzył; rzuciłem się pomimo więzów, żeby sobą brata zasłonić, ale druga strzała, przeleciawszy mi koło ucha, minęła nas tym razem. Adzi jednak nie zmęczył się tak prędko, brał coraz nowe strzały i ciskał je, dopóki nie zobaczył, żeśmy oba pokaleczeni i krew obficie spływa. Staszek błąd stał i modlił się tylko; ja z gniewu zaciskałem pięści i targałem więzy, aż mi się w ciało wpiły.

— Pójdziecie do meczetu, psy niewierne? — krzyknął malec.

Nic nie odpowiadaliśmy, ale tymczasem wyszła z budowli stara Tatarka jakaś i zaczęła do siebie wołać Adżego, pokazując mu figi i inne owoce; popędził za nią, a nas tymczasem odwiązali pacholcy i zaprowadzili do szopy. Był to czas spoczynku brańców; wszyscy nas otoczyli i wyjmowali strzały i całowali obmywając rany nasze. Staszek

dziwnie był spokojny i jak gdyby świętość jaka biła mu od twarzycki bladój.

— Nie boli, braciszku — mówił, słodko się uśmiechając — nie boli już. Pan Jezus na krzyżu więcej cierpiał, niż my.

Wieczorem zaprowadzono nas do lochu, co był pod szopą, gdzie przechowywano winogrona i inne owoce. Tam na garści słomy legliśmy oba i usnęliśmy tak twardo, żeśmy zapomnieli o bólu i ranach naszych, a we śnie zdawało mi się, że widzę dziadunia tego, co mu oczy powypiekali; tylko zamiast nich, miał dwie gwiazdy przesłiczne, a włos srebrzysty rozwiany na głowie i Staszka tulił do siebie, a mnie rękę na głowie położył. Co dziwniejsza, że i Staszkiowi tak samo we śnie dziadek się pokazał, jak mi z rana opowiadał.

IX. JASNY PROMYK. — MIRA. — KRZYŻYK. — NIE UPADAMY NA DUCHU.

Musiał już być dzień, chociaż w naszej ciemnicy widać tego nie było, kiedy odwalono ciężkie drzwi, co z góry loch nasz zamykały, błysnął światła promień i po schodach zsunęła się postać jakaś: nie był to żaden z nadzorców ani niewolników Edygi beya, ale coś, co leciuchno stąpało, białą osłonię szatą. Staszek, który mi właśnie opowiadał o śnie swoim, otworzył szeroko oczy błyszczące od gorączki i szepnął:

— Widzisz, braciszku, Anioł stróż do nas zstępuje!

Nie anioł to był jednak, tylko jedna z dziewczek beya, chowana z wielu innymi w haremie. (Tatarzy bowiem bogatsi, tak jak i Turcy, mają swoje haremy, gdzie ich liczne żony i niewolnice mieszkają zamknięte). Często ona zbiegała do ogrodów, kiedyśmy tam byli zajęci pracą, i wyścigając się z siostrami, zawsze umiała zbliżyć się do nas i albo słówkiem się miłem ozwała, albo łaskawie jakie pokryjomu Staszkiowi rzuciła. Teraz, nie wiem już jakim sposobem, potrafiła wymknąć się z haremu i przychodziła do nas tajemnie. Czarne jej oczki załyły się łzami, gdy zobaczyła nas obu na słomie leżących, zakrwawionych i wybladłych po wczorajszej męce. Małe strzałki Adzego nie zadały nam wprawdzie ran niebezpiecznych, ale boleśnie pokaleczyły w wielu miejscach, a upływ krwi osłabił szczególnie Staszka, który zaledwie główkę mógł podnieść. Mira, tak było na imię dziewczeczce, ukłękła i małą rączką zaczęła wydobywać z węzła owoce słodkie, placki z białej maki, a nawet czarę sorbetu chłodzącego, którą przy niej wypić musieliśmy. Potem cichutko wysunęła się z ciemnicy, a ktoś, co na górze czekał, spuścił drzwi, dzielące nas od reszty świata.

I tak przeszło dni wiele; nie męczono nas już, ale nie wypuszczano z więzienia, za całe pożywienie dając dzban wody i placek owsiany, który nam co rano stróż Tatar do lochu przynosił. Ciężej byłoby nam znosić to więzienie, gdyby nie to, że słabość i tak nie dozwalała się ruszać z miejsca. Najprzykrzejszy był brak światła, ale oczy nasze powoli i do tej ciemności nawykły. Co dzień też, tylko nie rankiem, jak po raz pierwszy, ale nad wieczorem, niby promyk słońca w białej swj szacie, wsuwała się Mira, niosąc słówko pociechy, i żywność, i balsam jakiś, którym rany nasze drobnymi paluszkami nacierała. Czasem przesiadywała i dłużej, a wtedy musieliśmy jej opowiadać o naszym kraju, o rodzicach, o Bogu naszym, o Jezusie Chrystusie, co był kiedyś na krzyż wbity i srodze cierpiał, żeby nas ludzi cierpliwości nauczyć.

To ostatnie szczególnie kazała sobie wiele razy powtarzać i płakała rzewnymi łzami, słuchając, jak Jezus był biczowany i męczony, a jak wśród tego modlił się do Ojca swego w Niebie za katów swoich. A kiedy jej Staszek pokazał wizerunek Zbawiciela na krzyżku, jaki nosił zawsze na szyi, to go całowała i wpatrywała się weń długo.

Ona znów opowiadała nam o swj matce, co była Czerkieską, z dalekich stron przywiezioną i często płakała a tęskniła za ziemią rodzinną, nie mogąc się przyzwyczaić do więzienia swego, choć już lat tyle w niem spędziła. Sama z haremu wyjść nie mogąc, chyba do małego, murem otoczonego ogródka, długie godziny spędzała, opowiadając córeczce o kraju swoim, pięknej Gruzji, gdzie dziewczęta jak sarenki po górach się wspinają, i żyją na słońcu, wśród róż, pod nieba błękitem, dopóki zły człowiek nie wpadnie i nie porwie której, by ją sprzedać później w Carogrodzie. I ją tak kiedyś do stolicy Turcji zawieziono, gdzie na targu kupioną została przez jakiegoś tureckiego kawedzi (oficera ze straży sultańskiej) co ją darował później przyjacielowi swemu Edydze do Krymu. Biedna Gruzinka, sama niewolnica i wygnanka, nie pocieszyła się, jak jej towarzyszki, zjadaniem smacznych łaskoci i strojeniem się w wonne paciorki i materye złotolite; nie, ona tęskniła i płakała zawsze, a li toś miała nad wszystkimi jeńcami. Za jej to namową mała Mira, mniej pilnie strzeżona, wymykała się z haremu i nieraz nosiła nieszczęśliwym, jak oto teraz nam, żywność i podarki, ciesząc ich słowem i widokiem swoim. Litowała się dziewczynka nad niedolą naszą i z początku zrozumieć nie mogła, dlaczegośmy się wzbranieli pójść do meczetu, Allahowi się pokłonić.

— Gdyby wasz Bóg był dobry — mówiła —

nie pozwoliłby was tak męczyć w tym lochu; spróbujcie, może Allah lepszy będzie!

I dopiero musieliśmy jęć tłómaczyć, o ile potrafiliszy w tatarskiej mowie, której nie znaleźmy dobrze, jak to Bóg prawdziwy jest miłosierny, jak nieszczęśliwych kocha, jak za wszystkie cierpienia wynagradza potem w niebie, jak swoją wiarę i kraj rodzinny kochać każe i nigdy się, nigdy, tęg miłości nie wyrzekać. Staszek szczególnie, kiedy mówić zaczął, to mu się twarzyczka tak rozpromieniała i oczy błyszczały świętym jakimś, anielskim ogniem, że ja sam z podziwem patrzyłem na niego, zkądby mu taka siła i wymowa przyszła. Mira, wpatrzona w niego, słuchała zadumana, a czasem duże jęć oczy czarne we łzach tonęły.

Kiedyś, pamiętam, ukląkłszy na słomie i złożywszy wychudzone rączki, zaczął cichym lecz dźwięcznym głosem pieśń do Bogarodzicy, i ja z nim głos mój połączyłem, a Mira, padłszy na kolana obok nas, z oczami w niebo wzniesionemi, zdawała się łączyć z modlitwą naszą. Gdy umilkł drżący głos Staszka i on znużony usunął się na posłanie, dziewczynka zawołała:

— I ja z wami mówić chcę do Boga waszego!.. i ja chcę pójść do nieba i widzieć Chrystusa, i Matkę Bożą. Uciekajmy daleko, daleko, gdzie nas ani Edyga bey nie dogoni, ani Allah nie zobaczy; tylko mamę moję weźmy, bo i ona chciałaby widzieć Chrystusa; sama mi to mówiła wczoraj wieczorem, kiedy gwiazdy świeciły na niebie! Uciekajmy!

Łatwo to było powiedzieć, ale jakże myśleć o ucieczce? Ja już chodziłem po więzieniu naszym ale Staszek ledwie się podnieść mógł i gdyby nawet z pomocą Miry wyjść z lochu, to cóżbyśmy dalej zrobili, otoczeni dzikimi Tatarami, w kraju obcym i nieznanym? Trzeba więc było znosić i cierpieć, a dziwną nam jakąś siłę Bóg dawał. Nie upadaliśmy na duchu; leżąc na słomie jeden obok drugiego, przypominaliśmy sobie zagrodę rodzinną i głos matki kochanej, co z nami co wieczór odmawiała pacierze przed wizerunkiem Matki Częstochowskiej, przed którym lampka dniem i nocą płonąła; wspominaliśmy ojca, który zerwał karabelę ze ściany, gdy się trwoga tatarska w naszej wiosce wszczęła, a potem padł krwią zalany i już go nie widzieliśmy więcej, i siostrzyczkę małą w kołysce, i nawet lipy w sadzie... wszystko, nam przed oczyma stało, a potem we śnie widzieliśmy ich znowu i Matkę Bożą, co nas płaszczem swym niebieskim, gwiazdami zasutym osłaniała.

— Nasi wszyscy już pewno w niebie — mówił Staszek — bo ich pohańce męczyli. Żeby to i nam pójść za nimi!..

A mnie trwoga zdejmowała, patrząc na wątłą i codzienną węższą postać braciszka, na oczy jego coraz większe, błękitne, we łzach pływające, a tak często ku niebu wzniesione. Ja wolałbym był jeszcze wyrwać się z tęg niewoli i z nim razem lecieć sam do domu, do ziemi rodzinnej i wyszukać matusię naszą, bo ona przynajmniej żyła, myślałem sobie i ciągle miałem jakąś nadzieję, że nam lepiej będzie.

Tymczasem jednego wieczora przybiegła Mira we łzach i powiedziała, że już więcej przychodzić nie może, bo wrócił Kubalim z wyprawy w stepy i odtąd on będzie miał nadzór nad niewolnikami zamiast starego Tatarzyna, co ją lubił i tajemnie do lochu naszego wpuszczał. Zasmuciliśmy się, że i tęg nam zabraknie pociechy, rozmawialiśmy długo, a Staszek, rozpowiadając Mirze o Bogu i Jezusie Chrystusie, dał jęć wreszcie do pocałowania krzyżyk, który na piersiach nosił.

— Daj mi to tymczasem — prosiła dziewczynka — ja się codzienną modlić będę do twójego Boga i całować jego ręce i nogi gwoździami przebite, i mamie go pokażę, a potem odniosę ci twój skarb, nie lękaj się.

Staszek się zawahał; jak tu się rozstać z pamiętką najdroższą, jedyną, co mu pozostała z rodziny i ojczyzny, bo Tatarzy, odbierając nam odzienie i wszystko, co mieliśmy przy sobie, to jedno zostawili, sądząc pewno, że to jakiś amulet. I oni noszą często amulety, czyli przedmioty według nich cudowne, od jakichś czarowników lub wrózek tatarskich zakupione, co ich bronić mają od wszelkiego złego, temu zaś, coby je odebrał, zaszkodzi okrutnie. Dla tego to przesądu zapewne nie śmieli odebrać naszych świętości, przez matkę na szyi każdemu z nas zawieszonych.

Ale dziewczynka tak bardzo tego pragnęła; pewni byliśmy prawie, że ją nawrócimy na wiarę chrześcijańską i Staszek zdobył się na wielką ofiarę: ucałował pokilkakroć krzyżyk i włożył go na szyję Mirze, opowiadając, jak się powinna modlić i kochać tego Ukrzyżowanego, co na nas wszystkich z Nieba patrzy i w sercach naszych czyta. Mówiliśmy długo, aż wreszcie stary Tatarzyn, co u wnijścia do lochu czekał, zmusił Mirę do odejścia i ciężkie drzwi z góry zamknęły się nad nami.

#### X. WIDZENIE. — OPIEKUN NIESPODZIEWANY. — ANIOŁ ULATUJE DO NIEBA.

Odmówiwszy jak zwykle wieczorne pacierze, usnęliśmy, ale nad ranem, kiedy oczy otworzyłem, spostrzegłem, że braciszek blady jak chusta leży nieruchomy i nie odpowiada na moje zwykłe powitanie. Zerwałem się:

— Co ci jest, Staszku mój? --- pytam z trwogą.

— Nic — odszepnął cichym głosem — tylko mi bardzo słabo... We śnie... w nocy — mówił przerywanym głosem; — widziałem ojca i dziadunia, wołali mnie do siebie... tylko matusi tam nie było... ale Najświętsza Matka tak się do mnie uśmiechała... i dawała białą lilią... chciałem ucałować kwiat niebieski... i przebudziłem się.

I patrzył mój braciszek jedyny błękitnemi oczyma, jak gdyby widział jeszcze niebo nad sobą i tę lilią białą. Zdawało mi się, że uleci odemnie, jak te anioły, co się czasem ludziom zjawiają i trwoga mnie zdjęła; zacząłem go całować, wołając:

— Staszku, spojrzij na mnie trochę, czyż ty mnie nie kochasz?

— Kocham cię, bracie — odrzekł — ale muszę cię porzucić... mnie tam będzie lepiej... tylko mi żal cię zostawiać... i Mirę... ale kiedyś, kiedyś, przyjdziecie do mnie...

I umilkł i pobladł bardziej jeszcze, ale usteczkami białymi poruszał, jak gdyby się modlił. Ukląknął przy nim, podniosłem główkę jego i wlałem mu do ust kilka kropel napoju, który nam Mira zostawiła była w małej, z pięknego jakiegoś kamienia wyrobionej flaszczyce. To go trochę orzeźwiło i rumieniec wystąpił na bladą twarzyczkę; obmyłem mu czoło wodą, której trochę od wczoraj zostało w dzbanie. Tymczasem drzwi się otworzyły i razem z jasną smugą światła wszedł, nie stary stróż, ale sam Kubalim. Z początku oglądał się, nie mogąc trafić do nas w tej ciemnicy, ale po chwili, dojrawszy w kącie na słonie coś bielejącego, przystąpił bliżej i nachylił się nad nami.

— Co to jest? — pytał — co wam zrobili.

Zerwałem się z ziemi i w krótkich wyrazach opowiedziałem, jak nas męczono, a potem tu zamknęto.

— Pies przeklęty — mruknął do siebie — przysiągł mi, że bić nie będzie... i nie bił też, ale dobrze sobie poradził, zwierz dziki!...

Widziałem, że był wzruszony i zagniewany, jałem go więc prosić, nie za sobą, lecz za bratem, co mi tu ginie w tej ciemnicy bez ratunku. Nachylił się Kubalim, przyłożył siwą głowę do piersi Staszka, dotknął czoła jego, potem, nie mówiąc ani słowa, wziął go na ręce i do wyjścia poniósł; szedłem za nim. U drzwi krzyknął srogim głosem na Tatarzyna starego, co tu lochu pilnował i obsypawszy go gradem przekleństw tatarskich, kazał iść przed sobą. Tatarzyn przypadł do ziemi, jak to u nich zwyczaj, gdy do przełożonych mówią i coś tam gadał, ale dostawszy tylko kopnięcie nogą i nowe przekleństwo, wstał i szedł przed nami. (D. c. n.)

## LESZEK BIAŁY.

Obrazek historyczny.

przez M...a.

*(Komnata wstępna w zamku sandomierskim. Marszałek dworu wchodzi szybko jednemi drzwiami, spieszy do przeciwnych i otwiera je z zapor przed Mikołajem, wojewodą krakowskim, wchodzącym z dwoma innymi panami).*

MARSZAŁEK *(z uszanowaniem)*.

Raczie tu czekać, panie wojewodo!

MIKOŁAJ *(z szablą w ręce z gniewem)*.

Odkąd *tém* władam, a zacząłem młodo, Jeszczem nie spotkał się z taką zniewagą!...

MARSZAŁEK *(ze zgrozą)*.

W księcia komnaty wchodzić z szablą naga!...

PAN I-szy *(tagodząc Mikołaja)*.

Ach, wojewodo!...

PAN II-gi *(tak samo)*.

Trochę oględności!...

MIKOŁAJ *(gwałtownie)*.

Brat ja, nie sluga króla jegomości, Króla Kaźmierza, w sercu Jego byłem, Czyliż dziś w jego dziecku, mnie tak miłem, Pana srogiego widzieć mi należy, Z onych poszeptów bełzkiej, mdłej macierzy? Mnież to nie puszczać będziesz śmiały w komnaty, Kędym szedł dawniej przed książęta braty?!...

MARSZAŁEK *(obrażony)*.

Tak, wojewodo! takie mam rozkazy, Jeśli z nich asumpt chcesz brać do urazy, Toż i ja jestem szlachcic na zagrodzie, I krakowskiemu równy wojewodzie!

*(uderza się po szablę)*.

Ale niesłusznie gniew waszmością miota, Nie wam nie ufa wdowa i sierota, Nie wam jedynie czekać tu wypada, Wszystkim tak!

MIKOŁAJ.

Jeśli tak jest, wszystkim biada!

Biada tym, którzy równać chcą z wszystkimi Mnie! opiekuna Leszka, i tej ziemi! Niech sandomierski wasz ten wojewoda Myśli dwa razy, nim złą radę poda, Wróg ten mój dawny i snadź do ostatka. DWORZANIN *(wchodzi, roztwierając drzwi w głębi)*. Książę pan idzie! także księżna matka!

*(Mikołaj chowa strzelbę; wchodzi Leszek Biały z matką Heleną, księżniczką bełzką; za nimi Goworek, wojewoda sandomierski).*

LESZEK.

Jakież odmiany w progi te was wiodą,

Nieprzyjacielu! zacny wojewodo?

MIKOŁAJ (*po głębokim ukłonie*).

Pozwól przypomnieć sobie najprzód, panie,  
Że ci był wiernym, jako i zostanie,  
Wierny przyjaciel króla Kazimierza!  
Jeślim ze stryjem twym zaś wszedł w przymierza,  
To iż mię żalu nazbyt piekły rany,  
Gdym był *od ciebie*, jakby wróg wygnany,  
Chociaż *nie przez cię*, jako wiem dokładnie!  
Teraz zaś, panie, cel mój łatwo zgodnie  
Ten, kto się dowie, że raz drugi świeci  
Słońce już, odkąd zmarł Mieczysław trzeci!

LESZEK.

Stryj mój nie żyje!

MIKOŁAJ.

Zgaśł poprzedniej nocy!

KSIĘŻNA MATKA.

Przecież raz ujędź zdrady i przemocy!  
Boże! złe słowo przebacz matce trwożnej!

MIKOŁAJ.

Książę! po dwakroć królu! lud twój zbożny,  
W tobie ceniący ojca twego cnoty,  
Wolnym wyborem z wdzięcznych serc ochoty,  
Trzeci raz tobie niesie dziś koronę.

KSIĘŻNA MATKA.

Raczył Bóg zwrócić oczy w sierot stronę!  
(*Mikołaj wyjmuje koronę na fioletowej poduszce,  
ze szkatuły, którą podaje jeden z panów*).

LESZEK (*smutno*).

Ciężka korona! czoło mi od młodu  
Krwawo raniła ręką mego rodu!

MIKOŁAJ.

Z prośbą, byś raczył przyjąć tę koronę,  
Jedno od ludu jeszcze mam zlecone!

LESZEK.

Czegoż chce lud mój?

MIKOŁAJ

Byś dla jego doli

Pęta doradców zrzucił z twojej woli!  
Niech sandomierski raz już wojewoda  
Od cię odstąpi, wtedy będzie zgoda!  
(*Leszek cofa się od podawanej mu korony, Goworek występuje*).

GOWOREK.

Królu mój! synu mego przyjaciela,  
Który choć król był, druhów miał tak wiele,  
Że aż o syna walczą jego druhy,  
Bo chce weń każdy tchnąć ojcowe duchy,  
Każdy zaś sądzi, że to lepij się umie,  
Wierni ci wszyscy przeto walczą w dumie.  
Królu mój! słuchaj twego ludu głosów,  
Dla mnie starego nie narażaj losów  
Swoich i Polski; niech odejdę w ciszę,  
Szczęśliw, gdy o twém szczęściu z niej posłyszę!

LESZEK.

Nigdy!... mój ojciec, król wasz sprawiedliwy,  
Pewnoby nie żył wśród ojczyściej niwy  
Takiem wspomnieniem pełném żywej siły,  
Pewnoby nie był druhom swym tak miły,  
Gdyby nie umiał cenić ich przyjaźni!

(*Do wojewody krakowskiego Mikołaju*).

Mów, przyjacielu, szczerze i wyraźniej,  
Czy ten warunek ma być niecofniony?

MIKOŁAJ.

Tak powiedziano!...

LESZEK.

Zrzekam się korony!

KSIĘŻNA (*z okrzykiem*).

Synu! więc znowu nas sieroctwo czeka!

LESZEK.

Matko! chcesz króla we mnie, czy człowieka?

GOWOREK.

Królu mój! synu! wychowanku drogi!  
Kochać cię będę, choć opuszczę progi  
Dworca twojego; nie odrzucaj doli,  
Bo to i lud twój ciężko też zaboli.

LESZEK.

Cięższym zabołec mógłby lud ten bólem,  
Gdyby miał króla, co być nie wart królem!

MIKOŁAJ.

Królu! błagamy przed twym majestatem,  
Poświęć ofiarę, choćby była bratem!  
(*przykłęka, panowie za nim*).

LESZEK (*zdejmując czapkę*).

Stokroć jest więcej! jest mi przyjacielem!  
Dotąd przez życie zawsze ja za wielom  
Cudzej znał woli, odtąd żyję własną!  
MIKOŁAJ (*powstając, z wściekłością do Goworka*).

No! sandomierski! ziemia nam za ciasną!

GOWOREK.

Królu! pamiętaj, że i wy królowie  
Macie powinność! myśl, co przyszłość powie!

LESZEK.

Przyszłość?... Nie zgodnę, czyli rządząc ludem,  
Mógłbym w przyszłości wsławić się tym trudem;  
Więc gdy nie zgodnę, a niepewność drażni,  
Niechże się wsławię, jako wzór przyjaźni!  
(*ściska Goworka*)

MIKOŁAJ.

Żegnam cię, książę, biorę znów koronę!

LESZEK.

Bóg z wami! ze mną serce ukojone.  
(*Postawie odchodzą z kądem przyszli; księżna płacząc  
odchodzi arzwiami w głąb; za nią Leszek z Goworkiem*).

## Savorgnan de Brazza.

ZNAKOMITY PODRÓŻNIK.

Afryka znana jest ludziom od czasów niepamiętnych, wybrzeża jej północne były kolebką najdawniejszej w świecie cywilizacji egipskiej, a jednak część środkowa tego ogromnego lądu dotąd jeszcze nie mogła być dokładnie zbadaną. Ameryka, tak niedawno stosunkowo odkryta, mało już ma zakątków, do którychby podróżnicy nie dotarli, prawie wszędzie zaludniona jest przez Europejczyków, a w Afryce i dziś jeszcze widzimy na mapach geograficznych duże przestrzenie zupełnie białe, bo nie tknęła ich jeszcze stopa cywilizowanych ludzi.

Nie jest to wcale przypadkowy zbieg okoliczności; Afrykę trudniej daleko przejść wzdłuż i wszerz, aniżeli Amerykę, z powodu jej kształtu. Rzućcie okiem na mapę, a odrazu to zrozumiecie. Ameryka jest wydłużona, mnóstwo odnóg morskich wchodzi tam głęboko w ląd ze wszystkich stron, ułatwiając przystęp okrętom. W Afryce przeciwnie brzegi są prawie zupełnie równe, gdziekolwiek tylko widać małe zatoki, ląd rozkłada się szeroko, a od jednego brzegu do drugiego ciągną się niezmiernie obszary ziemi, trudne bardzo do przebycia.

Jednakże nieustraszeni podróżnicy przezwyciężają te trudności i zapuszczają się w puszcze niedostępne, gdzie niema żadnych dróg i gdzie tylko pieszo przedrzeć się można. W naszych czasach wstąpiło się kilku takich odważnych podróżników, a między innymi Savorgnan de Brazza, którego wizerunek w stroju podróżnym wam dziś podajemy. Rodzina jego jest włoskiego pochodzenia, ale oddawna we Francji osiedlona, on też uważa się już za Francuza. Savorgnan de Brazza powrócił przed rokiem niespełna z wyprawy długiej i niebezpiecznej, i sam opowiadał swoje przygody w obec licznie zebranej publiczności w Paryżu. Obecną też była przytém jego matka i znakomity podróżnik wspomniał na początku swojego odczytu, że ona to wskazywała mu od dzieciństwa drogę obowiązku i uczyła poświęcać się dla dobra ludzkości. Podajemy wam tu niektóre ciekawsze ustępy z tego odczytu, a najpierw powiemy w kilku słowach, że Savorgnan de Brazza podróżował w okolicach nieznanych Afryki zachodniej, przy samym równiku, i oznaczył dokładnie bieg wielkiej rzeki Ogo-ue, wpadającej do oceanu Atlantyckiego.

Jednocześnie prawie Amerykanin Stanley przechodził w szerz całą Afrykę, na tej samej szerokości geograficznej, śledząc bieg rzeki Kongo,

a ponieważ prowadził za sobą liczny oddział ludzi uzbrojonych, więc często wojował z krajowcami po drodze, gdy opór napotkał. Podróżnik francuzki przeciwnie starał się zjednać sobie wszędzie mieszkańców łagodnością, przekonać ich, że sami najwięcej skorzystają na zawiązaniu stosunków handlowych z ludźmi białymi i w rzeczy samej zaprzyjaźnił się tym sposobem z jednym ze znaczniejszych władców, nazwiskiem Makoko i pomoc jego pozyskał. Dodamy jeszcze, że Savorgnan de Brazza już poprzednio podróżował w Afryce, w tej samej okolicy i znał ją po części.

Wyruszywszy z Europy d. 27 Grudnia 1879, podróżnik nasz przybył do Gabonu i tam zajął się natychmiast urządzeniem karawany, z którą miał się zapuścić w głąb kraju. Odszukał dawniejszych swoich tłumaczy, oraz krajowców, których w czasie poprzedniej swojej podróży oswobodził był z niewoli i osadził w posiadłościach francuzkich. Zabierał też z sobą kilku rodaków, jeden z nich, Noguez, umarł w półtora roku później z gorączki, która jest najstraszniejszą plagą Europejczyków pod skwarnem niebem Afryki środkowej.

Podróżnicy puścili się w drogę, trzymając się brzegów rzeki Ogo-ue, podróż odbywali po większej części na łodziach krajowców, zawiązując z nimi wszędzie przyjazne stosunki, wkrótce też nabyli od nich zgodnym sposobem obszar gruntu na wybrzeżu rzeki Ogo-ue, założyli tam stacyą, której nadali nazwę Franceville i zatknęli na niej sztandar francuzki. Jeden z podróżników, Noguez, pozostał w tej osadzie, a Savorgnan de Brazza z resztą swęj karawany puścił się w stronę rzeki Kongo, zabierając z sobą rozmaite przedmioty, stosowne do wymiany z dzikimi krajowcami. Podróżnicy przebywali najpierw rozległą krainę, zamieszkałą przez plemię bardzo liczne, zwane Bateke. Nieraz spotykali po drodze konwoje niewolników, gdyż barbarzyński ten handel wszędzie się utrzymuje dotąd w środkowej Afryce. Często także znajdowali porzucone jarzma drewniane, używane tam na ludzi w miejscu łańcuchów, a wówczas niewolnicy wyswobodzeni, którzy nieśli rzeczy podróżników, zabierali je z sobą i palili wśród okrzyków radosnych, wyrażając tak wdzięczność dla swojego wybawcy.

Opuściwszy krainę Bateków, podróżnicy przechodzili przez posiadłości zamożnego plemienia Aszykujosów, którzy ich bardzo gościnnie przyjęli, i przeprowadzali licznymi gromadami. Niemniej przyjazne przyjęcie napotkali u plemienia Abomów; są to murzyni bardzo kształtni i dobrze zbudowani, głównem ich zatrudnieniem jest wyrabianie pięknych i cienkich tkanin z palmowych włókien, ale i oni prowadzą także niecnym handlem niewolniczym.

kami. Tu po raz pierwszy podróżnicy usłyszeli o potężnym władcy Makoko, który panuje nad wielką rzeką Kongo, zwaną w tych stronach Olumo i któremu ulega także i plemię Abomów.

Podróżnicy sporządzili tratwę i płynęli rzeką Lefini, gdy zbliżył się do nich krajowiec, przybrany w naszyjnik, oznaczający godność wodza wojkowego, oświadczył, że jest wysłany na ich spotkanie przez króla Makoko i tak do nich przemówił:

— Makoko zna dobrze wielkiego wodza białego z wybrzeży Ogo-ue, wie, że zabójcze jego strzelby nigdy nie służyły do napadania krajowców, że pokój i hojne dary towarzyszą krokom jego. Wysłał mię, abym go powitał, jak przyjaciela i był jego przewodnikiem.

Ucieszył się niezmiernie p. de Brazza, i ruszył dalej w towarzystwie posła, który mu dostarczał żywności po drodze i pamiętał o jego potrzebach. Po kilku dniach uciążliwej podróży wśród pustej i dzikiej okolicy, ukazała się zdaleka rzeka, rozlewająca się tak szeroko, że można ją było wziąć za morze, a płynąca tak spokojnie, że nie słyhać było nawet szumu wody wśród ciszy panującej dokoła. Była to rzeka Kongo.

Gromadka wędrowców wypoczęła nad brzegiem wspaniałej rzeki, potem udała się do rezydencji króla Makoko. Oprócz Francuza Michaud'a i licznój służby, z krajowców złożonej, p. de Brazza miał jeszcze jednego towarzysza, którego wspomina z wielkiem współczuciem. Był to krajowiec z plemienia Bateków, zwany Ossia, niezmiernie roztropny i przychylny, który służył naszemu podróżnikowi za tłumacza, a nawet i za doradcę. Ossia zrozumiał, że kraj jego wiele skorzystać może na przyjaznych stosunkach z Europejczykami i starał się dopomagać im we wszystkich zamysłach. Przytoczymy tu dosłownie opowiadanie podróżnika francuzkiego o przyjęciu na dworze murzyńskiego władcy.

„Gdyśmy się zbliżyli do rezydencji królewskiej, ujrzelśmy przed sobą gromadkę dużych, dość porządných domków, otoczonych wysoką palisadą. Powiedziano nam, że Makoko pragnie nas przyjąć niezwłocznie. Otrzeprawszy się trochę z kurzu i przebrawszy się, jak można było najporządniej, stanęliśmy u wejścia pałacu królewskiego, a tłumacz nasz, Ossia, uderzył w wielki dzwon, oznajmując nasze przybycie. Wszyscy nasi ludzie, według przyjętego zwyczaju, trzymali strzelby pochylone do ziemi na znak pokojowego usposobienia.

Brama wnet się otworzyła i liczna służba królewska zaczęła nam wyścielać drogę matami, rozłożono na podwórzu skóre lwia, która oznacza

godność królewską. Położono na niej dużą miednicę miedzianą, starożytny wyrób portugalski; na tej miednicy król Makoko miał oprzeć nogi. Wzniesiono nakoniec ponad tym tronem baldachin purpurowy, a po ukończeniu tych przygotowań, wyszedł król w towarzystwie wielkiego swego czarownika, otoczony żonami, dziećmi i dworzanami. Makoko usadowił się na lwiej skórze, oparł się na poduszkach, ułożonych na niej, żony i dzieci posiadały dokoła tronu. Wielki czarownik przystąpił do króla, i padł przed nim na kolana, kładąc ręce swoje na jego dłoniach, potem toż samo uczynił ze mną. Ja siedziałem naprzeciw króla na tłómoku podróżnym. Inne znakomitsze osoby, należące do dworu, powtórzyły tę ceremonią, był to rodzaj powitania. Potem król Makoko przemówił do mnie mniej więcej w te słowa:

— Makoko z radością widzi u siebie syna wielkiego białego wodza zachodniego kraju, gdyż wie, że czyni jego są pełne mądrości. Makoko przyjmuje go życzliwie, bo chce, aby powiedział tym, którzy go posłali, że biali ludzie zawsze dobrego przyjęcia spodziewać się mogą, jeśli przychodzą w zamiarach pokojowych.

Bawiłem na dworze króla Makoko przez dni dwadzieścia pięć, a w posiadłościach jego dłużej jeszcze; traktował nas jak własne swoje dzieci. Żona jego sama codziennie przynosiła nam jedzenie, wszyscy nas obsypywali darami, chociaż nie mieliśmy się czem za nie odplacić. Makoko rozmawiał z nami często, rozpytywał o wszystko z nadzwyczajną ciekawością. Ponieważ wpród dochodziły go tylko wieści o Europejczykach, prowadzących handel niewolnikami i wojujących z krajowcami, więc nie mógł się wydziwić naszemu postępowaniu.

— Nie obawiam się wojny -- mówił — ale wolę pokój. Radziłem się ducha wielkiego mędrca, mojego przodka z czwartego pokolenia, a on mnie upewnił, że mogę zaufać białemu wodzowi, który ma pokojowe zamiary.”

Savorgnan de Brazza zawarł nakoniec traktat z królem Makoko, zapewnił mu opiekę Francji, za co król odstępował Francuzom znaczny obszar gruntu nad brzegami rzeki Kongo. Makoko kazał urzędnikom swoim napełnić małe pudełko ziemią, i podał je podróżnikowi, mówiąc:

-- Zanieś tę ziemię wielkiemu wodzowi białemu, na znak, że należy do niego.

P. de Brazza zatknął sztandar francuzki przed domem królewskim i rzekł:

— Pozostawiam to na znak przyjaźni i opieki Francji w tym kraju.

Opuściwszy dwór króla, podróżnik francuzki odbył jeszcze długą i nużącą podróż, założył kilka



stacyj francuzkich w puszczech afrykańskich, dotarł nakoniec aż do źródeł rzeki Ogo-ue i mógł biegnąć jęj cały dokładnie oznaczyć na mapie.

zgrupowała w kupki i gromadki, i rozmawiała żwawo, głośno, z wyrazem wielkiego niepokoju:

— Cóż? — Żle! — Coraz gorzej! — To straszne! — Co to będzie!..

## Profesor matematyki w Bolonii.

Około roku 1750 w mieście włoskiem Bolonii, o pięknym dniu wiosennym, stał się jakiś popłoch i ruch niezwykły, którego przyczyny nie potrafiłby odgadnąć nikt, ktoby patrząc nań nie był w sprawy miejskie wtajemniczony. Bolonia słynęła szeroko swoim uniwersytetem, zamieszkiwała ją przeważnie młodzież uniwersytecka. Inni mieszkańcy z uszanowaniem też patrzyli na tę młodzież dla tego, że z niej żyli tak, jak dziś żyje dużo ludzi z utrzymywania na stancyi uczniów.

A i dla tego także z uszanowaniem na nią patrzano, że wówczas nauka istotnie w większym była niż dziś poszanowaniu. Wprawdzie ludzi uczących się i uczonych mniej było na świecie niż obecnie, ale za to byli to prawie wszyscy znakomici ludzie. Kto się oddawał nauce, czynił to już całą duszą i nie w innym celu, jak tylko, albo z prawdziwego zamiłowania, albo w celu służenia rozumem krajowi swemu. Dzisiaj wielu, choć nie wszyscy, używają nauki jako sposobu do życia, wówczas bardzo często poświęcano życie nauce, co przecież i dzisiaj zdarza się, jakkolwiek wyjątkowo. Główną zaś różnicą pomiędzy dzisiejszą i ówczesną młodzieżą uczącą się jest to, że ponieważ nabywanie nauki było wówczas trudniejszym, więc po większej części mogła ją nabywać tylko młodzież możniejsza.

I taka to właśnie młodzież uczyła się w Bolonii, zjeżdżając się do niej z krain odległych. W południe, w czasie wykładów uniwersyteckich, w całej Bolonii tak było cicho zazwyczaj, jakby w jakiejś uroczystej chwili. Młodzież śmiała się nieraz z tego, że nawet swarliwe trochę gosposie, gotujące jeść po domach, sprawiały się ciszej w uroczystej chwili wykładania w uniwersytecie nauki. Ale i młodzież tylko po cichu i między sobą się śmiała, bo zresztą bardzo jęj było wygodnie z takim uszanowaniem ogółu dla tęj potężnej wiedzy, którą sama ta młodzież chyba więcej jeszcze, bo z większą świadomością szanowała i wielbiła podówczas.

A otóż właśnie przeciw wszelkim tradycjom i zwyczajom Bolońskim, pewnego pięknego dnia wiosennego, w owęj uroczystęj naukowej godzinie, ruch i gwar był na mieście. Przyczyną zaś tęj nadzwyczajności, albo raczej sprawcą jęj była właśnie sama młodzież uczona. Po wszystkich ulicach, placykach i zakątkach, roiała się ta młodzież,



Savorgnan de Brazza (str. 263).

Takie wyrazy najczęściej wylatywały ponad ogólny gwar rozmów i powtarzały się po całym mieście, nawet przy ogniskach kuchennych. Niepokój i przestrach panował tak ogólnie, że nieświa-

domy mógłby sądzić, iż koniec świata jest bliski. Ten przestraszony, te gromadki młodzieży szczególnie, zwiększały się i gromadziły w jednej miasteczce, na jednej ulicy, i przy jednym na tej ulicy domu. Ten dom był literalnie oblężonym, i tam dopiero, posłuchawszy rozmów, jakkolwiek starannie przyciszonych, można było łatwo dowiedzieć się istotnej przyczyny niepokoju i przerażenia miasta Bolonii.

Oto profesor matematyki przy uniwersytecie bolońskim zachorował ciężko, lekcje jego, właśnie na tę godzinę przypadające, zostały przerwane, on sam leżał w tym oblężonym niejako domu, lekarze najznakomitsi wchodzili tam i wychodzili bezustannie, a młodzież i miasto całe rozpaczało.

Żeby tę rozpacz zrozumieć, trzeba by koniecznie wprzód wiedzieć, czém w owym czasie była nauka matematyki. Wprawdzie i dziś nikt rzecz rozumiejący nie zaprzeczy, że jest ona jakoby nauk podstawą, ale wówczas wiedzieli o tém nawet ci, którzy wcale rzeczy nie rozumieli, zwłaszcza w Bolonii, gdzie młodzież natchnęła całe miasto swoją czcią dla tej nauki i jej nauczyciela. A ten nauczyciel umierał. Dla jego uczniów było to istotnie jakby koniec świata. A za uczniami czuło tak samo całe uczone miasto uniwersyteckie. Wieści o ciężkiej chorobie profesora wzburzyły zresztą nie tylko Bolonię, ale i cały włoski półwysep. Lekarze zjeżdżali się na gwałt. Od papieża Benedykta IV przybywali gońcy dwa razy dziennie z zapytaniem o zdrowie uczonego.

Tymczasem w małym starym domu, otoczonym tym gwarem, w głębi skromnego ale cieniego ogrodu, panowała cisza głęboka. Choroba profesora była już długotrwałą, niebezpieczeństwo groźne przeciągało się dziwnie. Lekarze w głowę zachodzili. To tylko było pewne, że nadmiar umysłowej pracy spowodował chorobę. I to też zwiększało żal i cześć dla chorego ogólną. W głębi dużej, przyciemnionej izby, leżał na łożu chory profesor.

Wbrew temu, co zazwyczaj mówi się i pisze o mieszkaniu ludzi bardzo uczonych, w tej izbie nie było nieporządku. Przeciwnie, widoczny był w niej pewien jakby matematyczny ład i symetria. Było to może bardzo właściwem w mieszkaniu profesora matematyki, ale niemniej było zadziwiającem. A przecież nikt nigdy nie dziwił się temu ładowi symetrycznemu, który panował tu zawsze. Gdy czasem ktoś wspomniał przypadkiem o tej domowej okoliczności, zaraz ktoś inny mówił:

— Cóż w tém dziwnego, przecież tam przy profesorze jest Marya.

Ta Marya, o której tak mówiono, była to jedyna córka profesora, Maria-Gaetana Agnesi, urodzo-

na w Medyolanie roku 1718, a więc w chwili owęj ciężkiej choroby ojca mająca już lat 32. Ona to prowadziła gospodarstwo w starym, małym, ale własnym profesorskim domku. Matka odumariała ją wcześniej, a ojciec, znakomity i zagłębiany w naukę, myślał dniem i nocą o matematyce, a przy niej i o wszystkiém inném na świecie, a najmniej podobno o córce. Bo jakkolwiek on sam utrzymywał, że matematyka jest podstawą świata i wszystkiego, co jest na nim, to przecież ani pomyślał, aby miała być także podstawą wychowania dziewcząt.

A jednak kochał on tę córkę prawdziwie po ojcowsku i serdecznie z głębi duszy, i dla tego, nie zastanawiając się nad tém, chciał ją tylko mieć zawsze przy sobie, i nic więcej. I otóż stał się cud, którego istotnym sprawcą była miłość ojcowska: Marya-Gaetana została wychowaną najdoskonalej, jak tylko wzorowa kobieta wychowaną być może. Bo trzeba pamiętać, że w taki sposób, jak się wychowanie jej ułożyło, miała ona ciągle przed oczyma ojca, a ten ojciec był wzorem człowieka. Zapatrując się więc na ojca, Marya stała się tém, czém była w obecnej chwili, to jest najlepszym dowodem tego, czém jest potęgą przykładu i miłości.

Powiadają czasem niektórzy ludzie, że dziecię i mędrzec mają pewną wspólność uczuć między sobą, że jest między nimi niejaki podobieństwo. Nie każdy może sądzić o tém, ale może tak jest, gdyż podstawą wspólnych uczuć mędrca i dziecięcia jest prostota i szczerłość. Tak przynajmniej było z Maryą i jej ojcem. Odkąd myśleć zaczęła, nie odstępowała go nigdy i podzielała wszystkie jego myśli. On jej nie uczył nawet właściwie, tylko z nią te myśli podzielał, a ona, pracując gorliwie aby je zrozumieć, przez to stawała się uczoną. Powiadał jej czasem coś po to jedynie, aby się nią w swoich pracach posłużyć, a żaden uczeń nie mógł mu w takiej naukowej posłudze lepiej dogodzić. Może dla tego, że kochał on córeczkę jeszcze bardziej, niż najukochańszych uczniów. A rozum tej córeczki może dla tego właśnie rozwijał się coraz potężniej, bo ona czuła, iż jest osłoda i pomocą konieczną ojcu.

Są historyczno dowody, że Marya-Gaetana Agnesi umiała w ósmym roku życia doskonale po łacinie, a w jedenastym roku znała ośm języków obcych i czytywała rozprawy greckie. Ale o to niedbała ani ona, ani jej ojciec, uważali oni umiejętność języków za klucz do innych nauk, a celem ich obojga i ich rozkoszą była matematyka. Córka za przykładem ojca rozmiłowała się w tej potężnej, dla silnych duchów stworzonej nauce i nią żyła.

Uczoność Maryi rozślawiła się wcześniej na ca-

ły półwysep, na całą Europę nawet. Mówiono o niej, jako o pięknym, nadzwyczajnym zjawisku, z podziwem i uszanowaniem. Ona ani dbała o to, ani wiedziała nawet o tem, co o niej mówiono. Żyła nauką zupełnie o tyle, o ile żyła codziennym pożywieniem; jak bez jednego tak bez drugiego przestałaby była żyć wkrótce. Oprócz tego żyła jeszcze miłością dla ojca, zupełnie tak samo, jak on od jej urodzenia żył miłością dla niej. Ułożyło się to wszystko samo ze siebie.

Ileż razy, gdy uczeń jaki przybywał do profesora, prosząc w imię nauki o dwa słowa objaśnienia w zawiłej naukowej kwestyi, profesor mówił:

— Maryo! moje dziecko! wytłómaczno tam tę drobnostkę, bo ja nie mam czasu tem się bawić.

I Marya młodzianka objaśniała natychmiast uniwersyteckiemu młodzianowi matematyczne zawiłe trudności, nad któremi starzy uczeni życie trawili. Często się też zdarzało, że w gronie uczonych kolegów i pierwszorzędnych uczniów ojciec i oni sami powoływali się na zdanie Maryi. A to wszystko działo się po prostu, bez żadnej z ich strony grzeczności, tylko tak, jakby to czynili z każdym innym uczonym i zdolnym matematykiem. Obchodzili się z Maryą tak, jak z kolegą, tylko o wiele uczęszszym i zdolniejszym od siebie, ponieważ tak było w istocie. Nie było w tem nic dziwnego, bo podobnych kobiet nie brakło na świecie, jakkolwiek Marya była wyjątkowo uczoną i zdolną.

W chwili gwałtownego rozruchu spowodowanego chorobą profesora, w owym dniu wiosennym, Marya siedziała cicho przy łożu ojca. Chociaż głównie zamilowana w matematyce, znała ona jednak i inne poważne nauki, które po części wiążą się z sobą i wspierają wzajemnie, a więc znała i naukę medycyny i śledziła bacznie przebieg choroby ojca pod okiem najznakomitszych lekarzy. Widziała, że nawet w najlepszym razie jeszcze długie osłabienie groziło ciężką bezczynnością chorego i osierocić miało jego chciwych wiedzy uczniów. Nauka była dla niej rzeczą tak ważną, że czuła głęboko tę naukową stratę nawet w obec serdecznej dziecięcej swojej boleści. Bo Marya kochała ojca tak czule po dziecinny, jakby była małym dzieckiem serdecznym.

Sam profesor, chociaż zaledwo nawpół przytomny, przecież dniem i nocą dręczył się niewypełnieniem swych obowiązków. Marzył i mówił w gorączce tylko o swych wykładach, sądził się na katedrze, otoczonym gronem uczniów, a chwilowe błyski przytomności, w których doskonale stan swój pojmował, doprowadzały go do rozpacz. Ta rozpacz pogorszała znowu stan i tak niebezpie-

czny tego zapalonego do nauki uczonego i gorliwego profesora.

Maryja, przejęta wszystkimi bólami ojca, siedziała u stóp jego, śledząc wzruszenia i cierpienie i upatrując nadziei na ukochanym jego obliczu. Tak prawie bez odpoczynku siedziała ona tam lub służyła czynnie choremu już od dwóch tygodni. I tak codzień o południu, w godzinach wykładu matematyki, cała ludność uniwersytecka oblegała domek profesora i rola się po mieście, rozpaczając żałośnie nad bezkrólewem naukowym i pytając się wzajemnie: co dalej będzie?

Właśnie po odejściu lekarzy i po dopełnieniu różnych posług koło chorego, usiadła Maryja znowu u stóp jego łoża, zadając sama sobie w myśli to pytanie, brzmiące w całej Bolonii i dalej nawet, gdy wtém dał się slyszec odległy tętent konia. Pewno przybywa goniec od papieża, pytając o wiadomości od chorego, pomyślała Maryja. I nie myliła się. Tętent ucichł nagle, i przez chwilę panowała cisza głęboka i dziwna trochę, bo obecność tłumów koło domu dopiero co objawiała się szmerem przygłuszonym. Maryja spojrziała też zdziwiona ku oknu, w teje chwili szmer wzmógł się, a ona otworzyła oczy szeroko na widok tego, co przez okno na ulicy przed domem ujrzała.

Oto szereg dostojników uniwersyteckich w uroczystych szatach, z gońcem papieżkim na czele, zbliżał się ku domowi, goniec niósł w ręce papier z wiszącymi u niego pieczęciami, a tłumy młodzieży uniwersyteckiej postępowały za orszakami. Oblegano dom coraz ściślej, a tłumione okrzyki radości wyrwały się z piersi tłumy. Machano kapeluszami, ściskano się, okazując przeróżnymi sposobami radość, niepojętą dla Maryi.

Prędko ją zrozumiała jednakże. Goniec papieżki z dostojnikami wszedł prawie natychmiast do izby chorego i podał Maryi papier, który przywoził. Była to nominacja Maryi na profesora matematyki przy uniwersytecie Bolońskim w zastępstwie chorego ojca. Ten pomysł papieża Benedykta IV uratował i ocalił wszystko. Bezkrólowie naukowe ustało i ztąd pochodziła radość Bolonii całej.

Dowiedziawszy się o wszystkiem, ojciec profesor tak się ucieszył, że błogie to uczucie przyspieszyło jego uzdrowienie. Ale nie wrócił już na swą katedrę, oddając się tem zapalczywiej nauce w zaciszu. Maryja próżno chciała mu katedry znowu ustąpić; on sam i wszyscy za nim żądali, aby zatrzymała ją dla dobra nauki. Maryja-Gaetana Agnesi, otoczona czcią ogólną, zakończyła życie w późnym wieku r. 1799.

## RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Tak mówił Oleś, inni milczeli, ale po oczach ich widać było zajęcie się poruszoną kwestyą i zgodę na zdanie Olesia. I wśród takiego to wyjątkowego usposobienia rodzeństwa Kazio nagle zawołał:

— Wiecie co? przez czas nieobecności rodziców pracujmy na domek co sił starczy! tak, jakśmy od początku chcieli. Ojciec nie będzie się o to gniewał, gdyż uczynimy to jedynie, aby nie zameczyć się z tęsknoty i nudów; co zarobimy to nasze, kapitał urośnie, a za powrotem ojca zaraz porzucimy nadzwyczajne zajęcia i na dzisiejszych znów poprzestawać będziemy. Czy zgoda? — mówiąc to, Kazio spojrział na Aneczkę:

— Daję słowo, Kazio dobrze mówi! — krzyknął Oleś. Kasia klasnęła w ręce, i przyglądała włosy. Oczy zabłysły, głowy podniosły się, ziewanie znikło, i żywa rozmowa wszczęła się między trojgiem młodszego rodzeństwa:

— Mnie się ludzie dziwią, że ja żadnych korepetycyi nie daję, bo widzą przecież sąsiedzi, jak kto siedzi; sam stary Algebra pytał mię raz, czy nie chciałbym sobie lekcjami pomagać; i głową kręcił, gdy mu podziękowałem. Może nawet za złe mi ludzie to mają, że się nie staram ojcu ciężaru ulżyć; niechno jutro profesorów poproszę, to mię pojutrze gdzie za korepetytora zalecą; zobaczycie.

— Ja jedną lekcijkę na skrzypcach mam pewną, ale to nic, ja co innego zrobię: ja znam ze sklepu jednego nauczyciela tańca, który chodzi po lekcjach ze skrzypkiem. Skarżył on się niedawno, siedząc w sklepie z moim kupcem, na tych skrzypków, że porządnego punktualnego chłopca, grającego na skrzypcach, trudniej jest daleko dostać, niż grajka fortepianisty; a panie przełożone po pensjach i ludzie po domach prywatnych nie chcą, żeby im rozbijano fortepiany. Rozmówię ja się z tym tancmajstrem i z moim kupcem, i przez całe swobodne popołudnie tygodniowe będę zarabiał.

— A kiedyż tamte lekcye będziesz dawał?

— W południe, w czasie obiadu, po półgodziny, bo to w tym samym domu, gdzie mój kupiec; jakiś pończosznik, czy coś podobnego, co tam w oknie w dziedzińcu na jakiejś łoskoczącej maszynie coś robią, słyszał kiedyś z okna moje granie i zapytał mię przy spotkaniu, czybym jego Frycka nie chciał grać poduczyć.

— Jeżeli moja kupcowa nie podwyższy mi płacy, to przejdę do drugiego sklepu obok — mówiła Kasia. — Już jedna z naszych panien tak zrobiła i dobrze na tem wyszła, bo tamten sklep z naszym emuluje, więc tamta kupcowa radaby nas wszystkie do siebie przywabić i naszych kupujących wraz z nami. Pensye daje lepsze i umizga się do nas. Ja dotąd, jakbym tego nie rozumiała, bo ojciec kazał przestawać na malém, ale pewna jestem, że jak tylko się z sąsiedzkim sklepem zaprzyjaźniać zacznę, zaraz w swoim większą płacę dostanę.

— Ale kiedyż ty sam, Kaziu, będziesz się uczył? i kiedy nas uczyć będziesz, jeżeli korepetycye dostaniesz? przecież nie możemy przestać się uczyć z tobą... — pytała Kasia.

— A niechże Bóg broni; chybabyście chcieli ojca rozgniewać; już ja sobie dam radę.

Tak rozmawiały dzieci z żywością i zajęciem niezwykłym w Izbie Radnej. Jedna Aneczka milczała; ale to jęj milczenie właśnie ważniejszém było od zaperzania innych dzieci, które przy rozprawach spoglądały ciągle nieśmiało i jakby z pod oka na najstarszą... Aneczka, zastępująca dotąd wcale nieźle matkę względem rodzeństwa, cierpliwa, rozsądna Aneczka, umiejąca nieraz dotąd pokroić zachcianki, albo łagodnym słówkiem zażegnać zły humor młodszych, teraz zniechęcona jakoś milczała. I tak zatwierdzony niejako tēm milczeniem przeszedł w Izbie Radnej wniosek Kazia. Wniosek niebezpieczny, jako pierwszy krok na pochyłej drodze, nietylko nieposłuszeństwa, ale nawet namiętności. Namiętnością nazywa się każde uczucie, które może zawładnąć człowiekiem tak bardzo, że górę bierze nad jego rozumem. Więc namiętnością jest skąpstwo, rozrzutność, żądza zabaw, gry, i. t. p. i namiętnością też jest żądza prędkiego dorabiania się grosza, która w teraźniejszych czasach bardzo wielu ludzi, jakby jaka odra lub koklusz, ogarnia. Dzieci malarza były już od trzech lat zagrożone tą chorobą; troskliwość ojcowska chroniła je dotąd od zupełnego w nią zapadnięcia, aż gdy troskliwości tej zabrakło, złe wzięło górę.

W trzecią sobotę wieczorem Aneczka przyszła do Izby Radnej, jak zawsze najpierwsza, otworzyła drzwi kluczem, weszła, i usiadła przy stole na swoim miejscu zadumana, z głową na ręce opartą, z oczyma wpatrzonemi w ziemię.

— Dobry wieczór. Jak się masz, Aneczko, czy nie było listu od rodziców? — spytał Kazio, wchodząc obładowany książkami. Przez trzy tygodnie ubiegłe od ostatniej w Izbie Radnej narady, Kazio zmienił się bardzo. Szedł takimi krokami szerokimi, jak człowiek dorosły i spieszący się, a przytém miał ruchy pewne siebie.

Aneczkę witał i pytał tak mimochodem, zdejmując płaszcz i rozpatrując się w swoich książkach, siadłszy nad nimi przy stole, jakby nie myślał wcale o tém, co mówił; jakby duchem był w tych książkach, albo gdzieśbądź, ale nie przy rodzicach, o których pytał, i nie przy siostrze, do której mówił. I zagłębił się w książkach, nie uważając nawet, że mu ona wcale nie odpowiedziała.

— A cóż, czy dostaniesz tę trzecią korepetycją, o której profesor mówił? — spytała po chwili takim tonem, jakby niezadowoloną była.

— Już dostałem.

— Kiedyż ty na nią czas znajdziesz?

— Dwa razy na tydzień; we srodę muszę krócej załatwić się z Olesiem, a drugi raz w niedzielę.

— W niedzielę?! znowu tak, jak i tamte!

— Albo co? czy to ludzie nie dają lekcyj w niedzielę? Profesor powiedział, dając mi adres tych państwa, że chłopak taki zdolny, jak ja, nie zgrzeszyłby wcale, gdyby nic ubogich rodziców nie kosztował i pomagał im jeszcze.

— Jak się macie, panie bracie!

— Panno siostro, stoim ostro! — krzyknął Oleś, wpadając do Izby, i stanął przed Aneczką z buńczucznią miną, cisnął czapkę na jedno łóżko, płaszczyk na drugie, i palcami dotykając struny skrzypców, które miał pod pachą, improwizował:

Całe dzionki stoję w sklepie,

Całe dzionki jedno klepię:

Siedm, ośm, dziesięć, sześć,

Héj! jest tam kto? paczkę nieść!

A jak niema tam nikogo,

Niosę sam, choć w zamieć srogą,

Choć nie każą, paczkę, kosz,

Bo za wszystko kapie grosz.

Nie od gości, lecz od kupca,

A więc biegnę tnać holupca,

Grosz, to życia cała treść;

Siostrzyczko, Aneczko,

Masz sześć rubli, daj co zjeść.

Domek niedaleczko!

— Z każdą znowu sześć rubli? — spytała Aneczka, zapisując je do księgi i chowając tymczasowo do swego pugilaresu, z kąd dopiero po jakimś czasie miały się w większym towarzystwie przenieść do kupca na procent, aby kupca oddawaniem małych sumek nie nudzić. Ale Oleś w brylantowym humorze odśpiewał natychmiast, dźwięcząc strunami skrzypców:

Co, z kąd?

Albo z pensyi, albo z tąd,

Ze skrzypki!

Jak wędką,

Machnę smyczkiem, skoczę prędko,

Trud niewielki, lgną rubelki,

Jak rybki.

— No, cóż tu słyhać u was? coś wesoło? — A ja już pożegnałam się z moją kupcową. Wyobraźcie sobie, ja jej proszę, żeby mi pensją podwyższyła i daje jej za przykład, jak to obok w sąsiednim sklepie i więcej płacą, i jeszcze wolno panom wybierać dla siebie towar ze sklepu z potrącaniem rabatu, a ona mi zaczyna jakieś moralne nauki dawać, że niby to mama umieściła mię u niej, i powierzyła mię jej, więc ja powinnam ją szanować, i uważać, jakby za drugą matkę! Moja pani, przepraszam, ale nie o to chodzi, powiadam jej, a ona swoje, ja o Pawle, a ona o Gawle, ja o pieniądzach a ona o moralności. O, pani moja! przepraszam! jeżeli jesteś niezadowoloną ze mnie, to bywaj zdrowa! i zgodziłam się obok do drugiego sklepu. O trzy ruble miesięcznie więcej biorę, i prezenta, tylko ubierać się trzeba będzie porządniej, bo to sklep z szykiem i wszystkie panny z szykiem tam są, i goście z szykiem tam bywają, same wielkie panie powozowe, więc i ja muszę teraz być z szykiem.

Tak mówiła Kasia wchodząc, i zdejmowała sałopkę, wstrząsała suknią, układała utapirowane włosy, witając się po kolei z rodzeństwem i kręcąc po pokoju na przeciw małego matczynego lustereka; wszystko z wielkim szykiem. Aż nareszcie usiadła na swoim miejscu, na drewnianem prostym krześle, krzywiąc się trochę, jakby jej na niem było niewygodnie, i jakby do innego była przyzwyczajoną. Aneczka podała herbatę, którą wypito i posilono się śpiesznie. Potem Kazio objaśnił słuchaczom lekcye zadane na poniedziałek, ale objaśnił je tak, aby zbyć, i wrócił do książek, prosząc o ciszę, bo musiał się sam teraz ogromnie dużo uczyć, niektórych przedmiotów na cały tydzień na zapas, mając czas nawet w niedzielę zajęty lekcjami, to jest korepetycjami płatnemi. Nic dziwnego zresztą, że nauczyciel uczył aby zbyć, kiedy uczniowie także słuchali go ladajak. Oleś przy wykładzie geometrycznego zadania pogwizdywał sobie kadryla, którego uczył się na pamięć na owo granie przy lekcjach tańca, co mu najwięcej zysku dawało, i zajmowało go też tak bardzo, że Oleś, wyuczony przez ojca pojmwować sztukę poważnie, sprzeniewierzył się teraz zupełnie surowym o niej ojcowskim pojęciom.

Dawniej grywał etiudy, gamy, i co łatwiejsze wyjątki z dzieł starych mistrzów na skrzypce, a oberki i krakowiaki grywał sobie żartem, bez nauki. Teraz z tańców właśnie złożył cały swój repertuar muzyczny, a wszystko resztę zaniedbał, nie spostrzegając, że zamiast postępować w muzy-

ce, grał teraz coraz gorzej; bo z muzyką jest tak, że poważne rzeczy i nauka są jakby gruntem, na którym bez trudu same z siebie wyrastają małe kwiateczki, takie krakowiaki i oberki, i wtedy rosną ślicznie. Ale gdy gruntu zabraknie, to jest gdy zabraknie prawdziwej, gruntownej nauki, a grający zechce same tylko dzikie kwiatki pielęgnować, to kwiatki wysilone marnieją, nie mając z czego sił czerpać, i muzyka przestaje być muzyką, a staje się ladajakiem graniem. I tak właśnie działo się z Olesiem, pogwizdującym kadryla przy wykładzie geometrii.

Kasia słuchała, wzruszając ramionami, bo już dawniej przekonywała Aneczkę, że geometrya im nie potrzebna, i myśląc o swojej instalacji w zwykłym sklepie, a rachując na to, że Oleś sam rzecz pojawiwszy, wytłómaczy ją potem siostrze, jak zawsze. Jedna Aneczka słuchała uważnie, choć od trzech tygodni już była ciągle jakby czém innym zajęta i smutna. Po objaśnieniu Kazia, Oleś poszedł spać, do jutra odkładając pomaganie siostrze, i tłómacząc się, że teraz bardzo rano wstawać musi. Dziewczynki chciały się uczyć same i poprosiły Kazia na chwilę o pomoc, ale on tak się skrzywił, że dały mu pokój i poszły spać także w milczeniu, zostawiwszy go wpół leżącego na stole z łokciami i z głową w obu dłoniach, jakby ją podtrzymywał, żeby mu z wielkiego wysilenia nie pękła; stopy książek leżały obok niego.

Nazajutrz w niedzielę jeden chłopiec poszedł w jedną stronę, drugi w drugą, bo oba mieli lekcye, Kasia przymierzała, przykrawała różne gałganki, jak w dzień powszedni, a potem czesała włosy przez dwie godziny, chcąc koniecznie uczesać się tak, jak starsza panna w nowym sklepie. Aneczka siedziała z książką w ręce, nie czytając, ale myśląc nad czemś głęboko. O południu zagrzało się trochę herbaty i wypilo. Nie gotowało się obiadu. Chłopcy wrócili późno, głodni, zbiegani i pogniewawszy się, że obiadu nie było, napili się także herbaty z bułkami, i całe towarzystwo poszło spać w dziwnym, niebywałym w Izbie Radnej rozprężeniu. Była to niedziela niezwykła.

Powiedzieliśmy, że Aneczka była teraz ciągle smutną, ale nie wyjaśniliśmy powodu, ponieważ nikt o nim nie wiedział. Można się go jednakże było domyśleć łatwo, uważając na wrażenie, jakie na Aneczkę wywierały wiadomości o zwiększających się dochodach braci, a zwłaszcza Kazia. Pierwsze trzy ruble, jakie on jej do schowania przyniósł, o mało jej z ręk nie wypadły. Ale myślałyby się, ktoby sądził, że Aneczka, wchodząc w myśl nieobecnego ojca, gniewała się o nazbyt skrętną Kazia zabiegliwość. O nie! Aneczce po prostu wstyd było, że malec, nie mający jeszcze

lat czternastu, zarabiał teraz prawie tyle, co i ona. W dodatku trzeba wiedzieć, że ona właśnie mogła teraz także dostać większą zapłatę, ofiarowano jej to, ale z warunkiem, żeby ze wszystkiém zamieszkała u tych państwa, u których uczyła dziewczątka i żeby temi dziewczátkami zajmowała się nieustannie od rana do wieczora, ucząc je, i pilnując nawet ich ubrania, i dając baczenie na cały dom, gdy pani sama wychodziła. Aneczce się to podobalo, raz dla samej odmiany, a potem dla znacznej pensyi, i dla wielkiej oszczędności czasu, który traciła teraz na wybieranie się z domu.

Jednak nie śmiała dotąd tej propozycji przyjąć i rodzeństwu to oznajmić. Dla czego zaś nie śmiała? tego w żaden sposób sama się domyśleć nie mogła, czuła tylko, że przyjąc tę propozycję, było to zaprowadzić w ich życiu zmianę, i to ważną i przykrą zmianę. I nie mogąc sama siebie zrozumieć, biła się z myślami, dumając smutno nad tém, co się wcale smutnym nie zdawało, i czego sama pragnęła. A tymczasem państwo owi zażądali ostatecznej odpowiedzi, aby poszukać kogo innego na stałe miejsce, jeżeli Aneczka go nie zajmie. I nad tą odpowiedzią namyślała się ona właśnie owęj niedzieli, o niej śniła całą noc i wstała w poniedziałek, nie wymyśliwszy nic jeszcze. Przyjąc pragnęła; a mimowoli jej się zdawało, że przyjmując, popełni coś złego. Czemu? daremnie nad tém myślała. Zdawało jej się nawet, że mówić tego rodzeństwu nie trzeba, ale zachodziła pewna okoliczność taka, że powiedzieć musiała; więc w ostatniej chwili, biorąc już salopkę na siebie, rzekła nagle, prędko, gdy inni już także rozbiedz się mieli:

— Moi państwo chcą mię wziąć na stałe ze wszystkiém, dają dwadzieścia rubli miesięcznie; przystać, czy odmówić?

Stało się, jakby w Izbie Radnej bomba spadła i pękła... Po raz to pierwszy, wbrew wszelkim zwyczajom przy rodzicach zachowywanym, rada odbywała się stojąc i w podróznym ubraniu, z parasolami i parasolkami w rękach.

Długą chwilę trwało milczenie, bo dwadzieścia rubli miesięcznie, prócz utrzymania, które przecież także coś znaczy, było dla dzieci malarza takim ogromem pieniędzy, że dzieci te oniemały na chwilę z podziwu. Ale że wszystko przemija na świecie, więc i podziw ten niezmierny musiał także z czasem przeminąć, a gdy minął, stało się znowu w Izbie Radnej coś rzadko trafiającego się w Izbach Radnych: oto Rajcy wrzasnęli, jak na komendę, wrzasnęli jednomyślnie:

— Brac!

I tak przeszedł wniosek Aneczki, drugi wniosek, przeprowadzony nie pod prezydencją ojca;

wniosek równie ważny, ważniejszy nawet jeszcze, niż ów pierwszy wniosek Kazia, ale będący już tylko tamtego logicznym następstwem.

Tegoż dnia Aneczka zgodziła się na zamieszkanie zupełne w domu, w którym dotąd dnie tylko przepędzała. A wieczorem późnym, bo teraz chłopcy późno wracali, odbyła się walna w Izbie Radnej narada, i burzliwa, jak tam nie często bywało.

(D. c. n.).

## ROZMAITOŚCI.

### HYMN NA CZEŚĆ KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.

Teofil Lenartowicz w jednym z listów swoich, dawniej przesłanych z Włoch, opisał ceremonią odprowadzaną corocznie w Rzymie na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem. Dołączył też hymn ułożony na wzór znanego powszechnie „Te Deum”. Jak uroczystość, tak hymn ten służy za dowód doniosłości wiekopomnego zdarzenia, którego dwóchsetną rocznicę wprędce obchodzić mamy.

W Rzymie corocznie dnia 13 Września, po odbyciu nabożeństwie w kościele pod wezwaniem imienia Maryi, wychodzi procesya z wielką chorągwią; przechodzi przez wzgórze Kwirynału i ulicę, przy której jest pochowany św. Stanisław Kostka. Chorągiew ta ozdobiona jest dwoma obrazami. Na jednym św. Michał, na drugim Najświętsza Panna. Jan Sobieski w purpurowym płaszczu, pancerzu i wawrzynach na skroni, ugina kolana przed cudownym zjawiskiem, a Papież Innocenty IX pokazuje królowi obłożony przez Turków Wiedeń.

Hymn wzmiankowany tak brzmi w polskim przekładzie:

Ciebie Polaka chwalimy!  
Ciebie mężnym uznawamy.  
Tobie Bożemu Rycerzowi  
Cały Rzym cześć oddawa,  
Tobie wszyscy Chrystusowi wierni,  
Tobie Wenecya i Italskie mocarstwa,  
Tobie Papież i Cesarz nieustającym głosem  
[śpiewają:

Dzielny, dzielny, dzielny Król polski!  
Pełna jest ziemia i Kościół  
Wielkości mężstwa Twego.  
Ciebie Chór Elektorów Cesarstwa,  
Ciebie chwalebny poczet bojowników,  
Ciebie kościelne wojsko wysławiał!  
Ciebie po wszystkim świecie  
Obrońcą wiary święty Kościół uznaje!

## Do Czytelników.

W roku zeszłym doniesiono w Kronice Rodzinnej o ubogiej paniencie z Chęcina, która potrzebowała kupić maszynę do szycia, aby mogła pracować na utrzymanie młodszego rodzeństwa. I my tę wiadomość powtórzyliśmy w Pisemku naszym, i wkrótce hojne dary nadchodzić zaczęły do naszej redakcji, a tak kochani nasi czytelnicy w znacznej części przyczynili się do kupienia maszyny, która ubogiej a pracowitej rodzinie zapewniła utrzymanie. Teraz czytamy znowu w Kronice Rodzinnej, co następuje:

Uboga wdowa, nieszczęśliwa matka pięciorga dzieci, wyczerpawszy siły przy ręcznej pracy, niedostatecznej na ich utrzymanie, radaby założyć przenośny sklepik (stragan) przy którym zajęcie dałoby jej możność większego zarobku. Na założenie podobnego sklepiku potrzeba mniej więcej czterdzieści rubli. Czterdzieści rubli dla zapewnienia losu wdowy i pięciorga sierot!... Ufając, że znajdują się serca szlachetne, które ofiarą kwot choćby najdrobniejszych zechcą się przyczynić do złożenia tego funduszu, redakcja „Kroniki” pośredniczyć będzie najchętniej w przyjmowaniu datków, równie jak i w udzielaniu bliższych szczegółów o osobie potrzebującej tej jałmużny.

My dodamy od siebie, że z najdrobniejszych datków, byle były liczne, tworzą się z łatwością największe sumy i prosimy kochanych naszych czytelników, aby składali na ten cel choćby tylko po parę groszy. Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.

### Zagadka mnemoniczna.

(Od Anulki J. dla Tadeusza S. w Tarnopolu).

Jaki jest powieściopisarz polski, którego nazwiska pierwsza litera, połączona z pierwszymi literami tytułów pięciu jego utworów, utworzy wyraz: ROKOSZ?

### Lamigłówa głoskowa.

(Od Nat. O. dla Stasia B.).

p l  
a b k  
u n t h  
ł g ó s l  
o s i o r a  
z e a p h e c

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

## Łamigłównki kryształowej:

W  
G A Z  
W A R T A  
S T O  
A

## Łamigłównki zgłoszkowej:

Booz  
Arfy  
Roderyg  
Betleem  
Amru  
Rabin  
Ararat.  
Barbara — Zygmunt.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

**Ł. Zosi W. w Suchej.** Łamigłównki są bardzo dobre i chętnie je wydrukujemy, ale prosimy o cierpliwość, ponieważ mamy obecnie spory zapas wcześniej nadesłanych.

**Karolkowi R.** Łamigłównka kryształowa jest tak dowcipnie ułożona, że nas zadziwiła. Dziękujemy za nią bardzo. Nasza łamigłównka trafnie odgadnięta.

**Wróbelkowi z Podlasia,** który niesłusznie się żali, że mu się nie wiedzie w naszej redakcyi, bo gdyby był odczytał dawniejszą odpowiedź uważniej, nie byłby nas narażał i tą razą na odmowę. Jest to tém przykrejsze dla nas, że najchętniej umieścilibyśmy w Pisemku naszym łamigłównkę ułożoną z nazwiska zasłużonej literatki. Powtarzaliśmy już wiele i wiele razy wszystkim kochanym korespondentom, że według przyjętych prawideł, w łamigłównkach zgłoszkowych nie tylko początkowe litery wyrazów, ale i końcowe muszą mieć znaczenie, inaczej bowiem układanie byłoby zanadto łatwe.

**Melańci B. w Łychowie.** Autorką Gwiazdki węgierskiej, oraz wszystkich opowiadań i poezyj z podpisem M—a, jest p. Michalina Zielińska, która cieszy się bardzo wiadomością, że powieść jej tak się młodym czytelnikom podobała. W łamigłównce z N-ru 14-go nie było żadnej omyłki, ale zapewne kochana korespondentka nie zrozumiała dobrze którego wyrazu, szkoda, że nie napisała wyraźniej, w czem zachodziła wątpliwość, bylibyśmy ją najchętniej wyjaśnili.

**Władysiewi R. w Troickosawsku.** Wielką nam zawsze sprawiają przyjemność liściki kochanych czytelników, którzy w tak odległych stronach z Pisemka naszego korzystają i tyle nam okazują życzliwości. Ponieważ wszystkie szczegóły o tej okolicy, tak mało u nas znanej, są niezmiernie ciekawe, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich czytel-

ników *Wieczorów*, więc bardzo wdzięczni jesteśmy za obietnicę stałej korespondencyi, a i z ostatniego liściku nie omieszkamy skorzystać. Za życzenia dziękujemy serdecznie, za siebie i wszystkich współpracowników naszego Pisma.

**Kaziowi R. w Troickosawsku.** Zagadka historyczna dobrze bardzo odgadnięta. Książka przeznaczona na nagrodę, *Przygody młodego podróżnika w Tatrach*, nie jest obcą stałym czytelnikom naszego Pisma, gdyż te przygody pod tymże samym tytułem były drukowane w naszym Piśmie, w r. 1880. Dziękujemy bardzo za ciekawe wiadomości przesłane w liściku, zapewne zajmą i resztę naszych czytelników, wydrukujemy je w N-rze następnym. Życzenia świąt wesołych, z tak dalekiej krainy przesłane, wielką nam sprawiły przyjemność.

**Adasiowi Kr. w Zakopanem.** Co tam porabia nasz korespondent, że tak dawno znać o sobie nie daje do naszej redakcyi? Czyżby wiatry halne zawiąły śniegiem wszystkie drogi, i przerwały komunikacye? Przyrzekliśmy czytelnikom naszym korespondencyą z Podhala, tymczasem od tej pory nadeszły listy z drugiej części świata, z pogranicza Chin, a z Zakopanego ani słychn!

**Misi B. w Benderach.** Rozwiązanie zagadki historycznej z Dodatku jest trafne i śliczną kaligrafią napisane. Ale czemuż to tak dawna i stała czytelniczka nigdy dotąd nie napisała do nas? Potrzebaż na to aż *odwagi*, żeby nam sprawić przyjemność. Autorka *Gawęd podsluchanych* u wiślanej fali, p. Michalina Zielińska, dziękuje za wiadomość, że nowa ta serya jej opowiadań czytana jest z takim zajęciem, a dawniejsza pozostała w pamięci.

**Pani J. Ż. w Warszawie.** Otrzymaliśmy rs 5 i według życzenia włożyliśmy je do puszkki, gdzie się składają ofiary na Szpitalik Dziecinny.

**Józłowi R. w Piotrówce.** Żądane N-ra Pisma wysłane, ale dla czegoż kochany nasz czytelnik teraz dopiero upomniał się o N-r 6-ty zesłoroczny, jakoby z poczty nieodebrany? W razie nieodebrania N-ru należy zaraz po otrzymaniu następnego uwiadomić o tém redakcyę, gdyż po upłynionym całym roku odsyłanie pojedynczych N-rów często jest już dla nas niemożliwe, jeśli są wyczerpane, a całych kompletów psuć nie możemy dla jednego N-ru.

**Panu Ignacemu Stopczańskiemu.** Wierszyki otrzymaliśmy i dziękujemy za nie serdecznie, wszystkie będą drukowane.

## Ogłoszenie.

Biblioteka matematyczno - fizyczna wydawana przez Maryana Baranieckiego z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki S. Kramsztyka.

Kartonowane 103 drzeworyty. Cena części I kop. 30, II kop. 45.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



## Ostrożny kogut.

Już słońeczko w świat pomyka,  
Już ozłaca szczyt kurnika;  
Więc stanąwszy na kurniku,  
Zapiał kogut — kukuryku!  
Hej, już rano! wstańcie kurki,  
Moje wnuczki, synki, córki,  
Szukać ziarenek od świtania,  
Leniuch będzie bez śniadania!  
Na to hasło cała rzesza  
Kurcząt, kurek, wnet pośpiesza.  
Najprzód zwawo, raźnie, chyżo,  
Każdy piórka czesze świeżo,  
Potem bieżą w lot do wody.  
Czy to starszy, czyli młody.

Środkiem kokosz, stara mama,  
Ładu patrząc, drepce sama.  
Ojciec pieje na kurniku,  
Swą komendę: kukuryku!

Wtém z za węgła, z za kurnika,  
Lis z nienacka się wymyka...  
Wrzaśnie kogut — kukuryku!  
Kto żyw skrywaj się w kurniku,  
Bo czatuje lis zdradliwy!

I wnet ukrył się kto żywy!  
W jednej chwili w lot z podwórka  
Z kurczętami znikła kurka.

To ujrzawszy, lisek rzecze:  
— Plotki czynią to człowiecze,  
Że nie wierzysz mi, kogutku;  
Schylno szyjkę pocichutku,  
Ja ci powiem, co się kryje  
W płotkach ludzkich, lecz schyl szyję!

Mądry kogut na tę radę  
Wstecz odskoczył, czując zdradę.  
A wtém nadszedł brytan srogi,  
I lis musiał drapnąć w nogi;  
A kogucik na kurniku  
Zapiał znowu — kukuryku!

Patrzcie, dziatki moje lube,  
Jak lis działa wam na zgubę,  
I jak czujnie a z ostrożna  
Lisich zdrań uniknąć można.

M— a.

## MOTYLEK.

Kazio biegał po łączce, po trawce zielonej i zbierał kwiateczki, a pełno ich tam było, wszystkie takie ładne, różowe, żółte, pąsowe, niebieskie. Kazio miał już spory bukiet w rączkach i chciał go odnieść Mamie. Wtém na smółce różowej, tuż przed nim, usiadł motylek i zapuścił trąbkę w kwiateczek, wysysając z niego słodki miodek. Prześlizchnyż to był motylek! skrzydełka miał ciemno-purpurowe, a na nich duże oczka złociste, jak na piórkach pawia.

Nr. 17.

— Pawik! pawik!—wołał Kazio, bo wiedział od Mamy, że taki motylek pawikiem się nazywa i wyciągnął rączkę, chciał pochwycić pięknego motylka. Ale ten frunął szybko przed noskiem chłopczyka i wzniósł się wysoko.

— Stój, stój, ty niedobry motylku, nie uciekaj tak prędko, ja muszę cię złapać koniecznie — wołał Kazio zaperzony i pogonił za nim.

A motylek tymczasem odleciał daleko i usiadł znów na kwiateczku, ale aż na drugim końcu łączki. Tu spotkał drugiego motylka, swego przyjaciela, złotego cytrynka i rzekł do niego.

— Żebyś ty wiedział, jak ja się nastraszyłem przed chwilą. Zasiadłem sobie do śniadania na różowej smółce, aż tu jakiś chłopczyk drapieżny nadbiegł i chciał mnie pochwycić w swoje łapy. To szczęście, że go spostrzegłem w porę i umknąłem.

— Straszne rzeczy! — rzekł cytrynek — wiem ja dobrze co to znaczy; raz już o małe co nie zginąłem, gdy taki niegodziwy chłopiec porwał mię w swoje szpony. Jemu się zdawało, że mnie bardzo delikatnie trzyma, a tymczasem zwichnął mi skrzydełko i przez kilka godzin potem byłem kaleką, chociaż mnie wypuścił na prośby jakiejś prześlicznej dziewczynki.

— Ach, mało jest dobrych dzieci na świecie — mówił pawik — chłopcy szczególnie to zwykle są okrutniki, gotowi dla igraszki zamordować niewinne stworzenie, jak gdyby nie wiedzieli o tém, że i nas także Pan Bóg stworzył, tak samo, jak ich.

— Oho! wiedzą oni o tém dobrze — mówił cytrynek — i wiedzą także, że nie potrafią powrócić życia najdrobniejszej muszce, ani złamanego skrzydełka naprawić, a jednak tacy są niepocziwi i okrutni.

Gdyby Kazio był tę rozmowę motylków usłyszał, pewnieby już nigdy nie wyrządził krzywdy żadnemu stworzeniu; bo on nie był ani zły ani okrutny, tylko nie pomyślał nigdy o tém wszystkim.

## DOBRY LEW.

Pewnego razu strzelcy schwycili w lesie małe lwiątko, i wzięli je ze sobą do miasta. Lwiątko było takie małe, że jeszcze chodzić dobrze nie mogło, wzięli więc strzelcy małeńkiego ładnego pieska, położyli go na sianie przy lewku i razem im dawali jeść, i pieścili i głaskali obydwóch. A to dla tego tak

robili, żeby się lewek zaprzyjaźnił z pieskiem i żeby się za jego przykładem prędeż oswoił, i żeby mu się samemu bez braciszków lwiątek nie przykrzyło.

Stało się jak ludzie chcieli. Lew z pieskiem poprzyjaźnili się tak bardzo, że wcale się ze sobą rozstawać nie chcieli. Bawili się, i jedli i spali razem.

Z czasem lewek wyrósł na ogromnego lwa, a pies, choć także urósł, przecież wspiąwszy się na łapy jeszcze lwu nie mógł dosięgnąć do grzywy, żeby ją z figłów potargać zębami. Więc pocziwy lew kładł się na ziemi i tak dopiero bawił się ze swoim małym przyjacielem i nigdy mu nie dokuczył, chociaż jednym uderzeniem łapy mógł był go zabić, bo był sto razy od psa mocniejszy.

Pies, swawolnik wielki, przeciwnie nieraz z figłów dokuczył lwu porządnie, nie raz go ukąsił nawet w ucho. A lew dobry tylko mruczał i bronił się ostrożnie, żeby psa nie uderzyć, albo nie przycisnąć łapą do ziemi, albo nie schwycić zębami. Bo lew wspaniały wiedział, że jest bardzo silnym i lękał się, aby mimowoli niechcący słabszemu nie szkodzić.

Ludzie patrzyli często z zajęciem na ich zabawę i mówili, że mądry i dobry lew jest przykładem tego, jak każdy, kto jest silny, powinien się ze słabszymi obchodzić.

## Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

*(Dalszy ciąg.)*

— Ba! ten figus, taki niewielki w naszym zimnym kraju, w gorącej swojej ojczyźnie wyrasta na drzewo potężne; ale nie pora o nim teraz mówić, figa, którą zobaczycie za chwilę, jest okazalsza od wszystkich swoich krewniaczek; u Indyan drzewo to nazywa się banijan; ale otóż jesteśmy na miejscu, patrzcie, czy nie miałem słuszności, że to prawdziwie osobliwe drzewo?

Dzieci roztwierały oczy szeroko, ale na razie nie mogły zrozumieć dobrze, co to było. Widziały przed sobą całą gromadkę drzew, gałęzie ich u góry płątały się z sobą jakby jakiś ogromny baldachin z zielonych liści rozpięty był nad prześliczną altaną. Gdy Adaś i Zosia weszli tam z rodzicami i obejrzeli się dokoła, aż wykrzyknęli z podziwu. Po samym środku téj osobliwej altany stał gruby pień drzewa, naokoło wznosiło się mnóstwo pni pomniejszych, ale u góry wszy-

stkie ich wierzchołki zrosnięte były z sobą, pni było dużo, a jeden tylko wierzchołek, wszystko razem wyglądało, jak gmach podparty kolumnami, z dachem splecionym z gałęzi zielonych.

— Ach, Tatko, jakież to śliczne! — zawołał Adaś — któż to taką altanę paradną tu zrobił?

— Ale gdzież jest ta osobliwa figa, co to Tatko o niej mówił? — pytała znów Zosia — czy to może wszystko figi?

— To, co wam się wydaje całą gromadką drzew, jest jednem tylko drzewem — powiedział Ojciec — dla tegoż właśnie osobliwem je nazwałem. Po środku widzicie pień główny, od niego rozchodzą się konary na wszystkie strony, ale niektóre pochylają się w dół i końce ich w ziemię wrastają, wyglądają też zupełnie jak pnie osobne. Jest to sławny banijan indyjski. Indyjanie często w tych pięknych, zielonych altanach urządzą świątynie, dla tego też drzewo to nazywają zwykle figą świątanicową.

Mama tymczasem wydobyła zapasy podróżne z koszyka, rozłożyła je na dużym kamieniu, a dzieci zasiadły obok na murawie; o, cóż to za przyjemny był popas! U góry, na rozłożystych gałęziach banjanu siedziało mnóstwo ptaków, a wszystkie świegotwały wesoło i szeleściły skrzydełkami. Dzieci rozpoznawały pomiędzy nimi ładne krzykliwe papugi, o zielonych skrzydłach i dziobach zakrzywionych. Niedaleko płynął bystry strumień, Indyjanin przyniósł w dzbanuszkę świeżęj wody do picia, słonie poszły się napić ze strumienia.

Tak tu było ślicznie i przyjemnie, że nasi podróżnicy parę godzin przesiedzieli w cieniściej altanie. Byliby tam zostali i dłużej, rozmawiając wesoło, ale ojciec naglił do drogi, chciał dziatwę przed wieczorem dowieźć do domu. Już wszyscy znów siedzieli na słoniach, gdy Adaś nagle zawołał:

— Ach! co za prześliczne zwierzątko! czy to jelenie?

Dwoje zwierząt bardzo zgrabnych, o cienkich, wysokich nóżkach, o długich szyjach, piło wodę ze strumienia. Jedno z nich, większe, miało niezmiernie długie rogi, drugie mniejsze, tylko sterczące uszki.

— To są antylopy — rzekł Ojciec — samiec rogaty i samiczka bez rogów.

Samiec wyglądał bardzo okazale z ogromnymi swojemi rogami, w tył wyciągniętymi wzdłuż grzbietu, sierść miał ciemną, czarną

prawie na grzbiecie i bokach, białą na brzuchu. Samiczka była znacznie jaśniejsza, szara. Nagle samiec porwał się, nastroszył uszy i pomknął jak strzała, samiczka puściła się za nim, ale w tej samej chwili z za krzaków nadbrzeżnych wyskoczył zwierz straszliwy, centkowany, z ogromną krągłą głową, rzucił się na biedną antylopę samicę, zupełnie jak kot rzuca się na myszkę, i przyduślił ją potężną swoją łapą do ziemi.

— Tygrys! tygrys! — zawołał Ojciec przerażony i pochwycił strzelbę, którą miał przewieszoną przez plecy.

— Proszę nie strzelać! — krzyknął Indyjanin po angielsku — on nam nic złego nie robi, ma już swoją antylopę. Tygrys rzadko bardzo rzuca się na słonia, ale nie potrzeba go rozdrażniać.

Dzieci oniemiały z przestachu i przytuliły się do rodziców. Tygrys rzeczywiście wcale nie patrzył w ich stronę, zajęty był antylopą, rozdzierał ją pazurami i pożerał chciwie. Przewodnicy tymczasem podpędzili słonie i wkrótce straszliwy ten widok znikł z oczu naszych podróżników.

— Cóż to za potwór! — powiedział nakońiec Adaś, ochłonawszy z przerażenia.

— A jaki on podobniuteńki do naszego Mąciusia — mówiła Zosia — zupełnie jak gdyby Maciuś tak okropnie wyrósł. Ach, Tatko, onby i nas tak zdusił, jak tę biedną antylopę; jakie ma łapy ogromne!

— Łaska Boża prawdziwie, że nas to straszne niebezpieczeństwo ominęło — rzekł Ojciec — teraz już nie pozwolę wam zejść na ziemię, aż póki do domu nie dojedziemy. Te drapieżne zwierzęta snują się wszędzie, nawet w bliskości osad ludzkich, teraz jednak od dość dawnego czasu nie widziano ich w tej okolicy i dla tego taką nieostrożność popelnilem.

— Ależ Tatka byłby nas nie dał tygrysowi, byłby go Tatka zastrzelił — mówiła Zosia.

— Lepiej jednak, że się obeszło bez strzelania — rzekł Tatka — z tygrysem nie łatwo wojować, a jeżeli nie zginie od pierwszego strzału, wpada w wściekłość i wtenczas jest straszniejszy jeszcze.

Słońce zniżało się ku zachodowi, gdy dwa słonie zatrzymały się przed ładnym, wesołym domem wiejskim, ocienionym wspaniałemi drzewami.

— Oto jest mieszkanie wasze — mówił Tatka i wprowadził dzieci wraz Mamą po wschodach na obszerny ganek, czyli werandę, osło-

nioną od słońca pnącemi się roślinami. Kilko sług wybiegło na ich spotkanie; byli to wszystko Indyanie i Indyanki, o ciemnych twarzach, mówili po angielsku, a ojciec upewnił, że są bardzo poczciwi i roztropni.

Dzieci spały wybornie téj nocy, w łóżeckach osłonionych szczelnie muślinową kotarą a na drugi dzień obejrzały wraz z rodzicami cały dom i ogród przepyszny, otoczony wysokim parkanem, ażeby czasem dziki zwierz jaki się do niego nie dobrał. Zawsze jednak Ojciec zalecił dzieciom, ażeby same nie odbiegały nigdy od domu, ale nawet i w ogrodzie zawsze się bawiły pod opieką wiernego Indyanina Sahiba. A Sahib, słysząc to, uśmiechnął się i położył rękę na sercu, mówiąc, że pan może być o to zupełnie spokojny, bo on od téj chwili ani na jeden krok dzieci nie odstąpi. I rzeczywiście, podczas gdy Mama zajęta była w domu urządzeniem pokojów, rozpakowywaniem rzeczy, przygotowaniem posiłku, on chodził śladem za dziećmi, jak wierny pies i nie spuszczał ich z oczu.

Wieczorem, gdy się już ściemniać zaczynało, Mama stanęła na progu we drzwiach od ogrodu i zawołała na dzieci. One bawiły się niedaleko domu, na głos Mateczki pobiegły do niéj szybko, a nieodstępny Sahib podążył za nimi. Mama wzięła dzieci za rączki i poprowadziła je na werandę.

— Wigilia! Wigilia! — krzyknęły dzieci radośnie.

Na werandzie ujrzały stolik białym obrusem zastany, na nim talerzyk z opłatkami, różne ciastka i przysmaki, a z boku stało prześliczne drzewko zielone, nie choinka wprawdzie, ale indyjskie jakieś drzewko, całe zawieszone zapalonemi świeczkami i przepyszny owocami. Ojciec poprowadził dzieci do tego drzewka, on sam je dla nich urządził, chcąc im niespodziankę sprawić. Adaś znalazł przy drzewku przepyszne słońce na kółkach, i książeczkę z obrazkami, a Zosia lalkę ustrojoną po indyjsku, w długiej muślinowej zasłonie, w sukni złotem wyszywaną.

Potém wszyscy łamali się opłatkami, i jedli wieszczkę, przyrządzoną po polsku. Rodzice byli troszkę smutni, mieli nawet łzy w oczach, ale gdy dzieci zaczęły szczebiotać wesoło, ciesząc się zabawkami, i oni się rozweselili.

Gdy wstali od stołu, przechadzali się jeszcze wszyscy razem po ogrodzie, a Mama zanuciła wśród ciszy wieczornej piękną naszą kolendę:

„Bóg się rodzi, moc truchleje.”

Pierwszy to raz zapewne w tym ogrodzie, wśród palm kokosowych, bananów i innych zwrotnikowych roślin, zabrzmiała polska kolenda.

Adaś i Zosia mieszkają dotąd w Indyach z rodzicami, i bardzo tam są szczęśliwi, ale rodzice tęsknią na obczyźnie i mają nadzieję, że będą mogli wkrótce powrócić do rodzinnego kraju.

**S Z A R A D A.** (Woch Heleni).

Dwie zgłoski tworzą moje nazwisko,  
Na głowach kobiet moje siedlisko;  
Pierwsza jest wodą w stanie gorącym,  
Druga zaś ludziom służy jeżdżącym;  
A wszystko razem zdobi blondynki,  
I brunetki, i szatynki.

**Łamigłówa zgłoskowa.** (Stefcia Kw.)

Z następujących zgłosek: ar—bel—i—la—lew—ło—ma—mo—mot—sa—ta—war—wy za—ułożyć pięć wyrazów: 1. Wezbranie wody, 2. Imię, 3. Sprzęt domowy, 4. Rodzaj odgłosu, 5. Broń palna. Pierwsze i ostatnie litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwy dwóch rzek w Polsce.

Rozwiązania do Nr. 14-go.

**Zagadki:**

EWA. E | W | A.

**Łamigłówa kryształowej.**

K  
D A R  
K O L O S  
P R Z E S A D  
K A L E N D A R Z  
T E O D O Z Y  
T R A W A  
G R A  
Z